

W DRODZE NA OZORKI

Rozmowę przeprowadzono 11 maja 2012 roku, podczas podróży w rodzinne strony profesora Juliusza Domańskiego. Ważnym przystankiem stały się Piaski, gdzie „ekspedycja” w składzie prof. Juliusz Domański, dr Agata Łuka, dr Maciej Jońca oraz mgr Katarzyna Socha raczyła się miejscową specjalnością – ozorkami w sosie chrzanowym.

Agata Łuka: To teraz jedziemy na ozorki?

Juliusz Domański: Na ozorki!

A. Ł.: Podobno w podróży nawet w piątek jest dyspensa od postu.

J. D.: Nie wiadomo, czy ozorki należą do mięs. A może są tylko mięsopodobne? Może należą i są mięsem *par excellence*? Jak to jest u Plutarcha, gdzie na początku traktatu *O należytych czytaniu poetów przez młodzież* można przeczytać: „z mięs najlepsze jest to, co nie jest mięsem”, τῶν κρεῶν τὰ μὴ κρέα ἥδιστα ἐστὶ!¹

A. Ł.: No to ruszamy.

Maciej Jońca: Proszę pozwolić, że zapytam: Pan profesor utrzymywał z KUL-em ożywione kontakty?

J. D.: Początkowo były to relacje jedynie towarzyskie, a potem paranaukowe. Nie byłem nigdy studentem KUL-u, ale miałem mnóstwo kolegów, którzy studiowali tu po wojnie prawo (wówczas nie studiowało się jedynie prawa kanonicznego, jak to miało miejsce później, ale prawo w ogóle). Odwiedzałem więc kolegów w Lublinie po drodze z Warszawy do domu rodzinnego. Z tych czasów znam dobrze stary gmach KUL-u. Dwupiętrowy, bardzo ubogi, z dziedzińcem jednak, który – tak jak dziś – również był zielony. Przychodzili tu wtedy też dość liczni ludzie z miasta, bo w każdą niedzielę na śniadanie UNRRA² wydawała kakao. To w powojennej biedzie była nie byle gratka. No więc to takie wspomnienie moje z lat studenckich. Potem, już jako człowiek dorosły profesjonalnie, kilka razy byłem na KUL-u recenzentem doktoratów i habilitacji. Wreszcie kilka lat temu spotkał mnie tu wielki zaszczyt: Towarzystwo Naukowe KUL uhonorowało mnie Nagrodą im. Księdza Idziego Radziszewskiego.

M. J.: Wiem, że pod koniec okupacji niemieckiej uczęszczał Pan Profesor na tajne, a później jawne zajęcia o charakterze gimnazjalnym, na takie prywatne, pozaszkolne komplety. Tu również w tle pojawia się KUL.

¹ Plut. *Mor.* 14 e (*Quom. adulesc. poet. aud. deb.* 1).

² United Nations Relief and Rehabilitation Administration – organizacja międzynarodowa wspierająca państwa dotknięte działaniami wojennymi w czasie II wojny światowej; udzieliła znaczącej pomocy Polsce w latach 1945–1947.

J. D.: Tak. Ta przygoda zaczęła się jeszcze za niemieckiej okupacji wiosną roku 1944, a później, już po okupacji niemieckiej i pewnej przerwie zajęcia tego typu musiałem kontynuować, bo trudno mi się było dostać w wojennym jeszcze bałaganie do normalnej szkoły. Nauczyciel, który to prywatne nauczanie dla kilku chętnych osób zorganizował, mieszkał w sąsiedniej wsi.

M. J.: Był sędzią, to mnie zafrapowało.

J. D.: Nie wiem, czy sędzią, ale prawnikiem tak: zanim wybuchła wojna, był już po studiach prawnych. Potem, po wojnie, pracował na KUL-u jako pracownik naukowy i dydaktyczny na wydziale prawa. Jeszcze przed wojną napisał też pracę doktorską, a na czas wojny ukrył ją we wsi rodzinnej, bo tam wtedy zamieszkał, w stodole swojego ojca, w słomie, razem z jakimiś kosztownościami. Ktoś to podpatrzył i w nocy zabrał cały tobołek razem z pracą. Praca przepadła... On właśnie, po okupacji, ale jeszcze w czasie wojny, uruchomił te komplety, jak to się wtedy nazywało. To była dla mnie świetna przygoda! I w ogóle rzecz trochę dziś niewyobrażalna. Przecież on we wszystkich przedmiotach, których nauczał, miał tylko wykształcenie na poziomie przedwojennej matury, i pewnie częściowo zapomniał już, czego się przed maturą nauczył. A świetnie sobie radził! Umiał nauczyć i matematyki, i fizyki, i języków...

M. J.: A przemyślał podczas zajęć jakieś prawnicze wątki?

J. D.: Nie, nic podobnego. Rzeczowo uczył, nie opowiadał prawniczych anegdotek. Trzymał się programu, podręczników. A przecież pełnił funkcję kilku gimnazjalnych nauczycieli. Nauczał łaciny i jeszcze dwóch języków: niemieckiego i francuskiego. Był to oczywiście poziom elementarny, ale robił to dobrze. A jakie jego praca dawała efekty, można było zobaczyć, kiedy jego uczniowie – w tym ja – pojechali do Krasnegostawu na egzamin państwowy. Z blisko dziesięciu osób nie zdała tylko jedna. Ja zresztą miałem w Krasnymstawie, już w regularnej szkole średniej, innego jeszcze nauczyciela spoza zawodu – Jana Klaczyńskiego – również prawnika. Nauczał polskiego, propedeutyki filozofii oraz elementów wiedzy o Polsce i świecie współczesnym, takiej jakiejś propedeutyki politologicznej. On to wszystko umiał! Od niego właśnie usłyszałem kiedyś świetny wykład na temat różnych konstytucji: amerykańskiej, francuskiej i sowieckiej. Poza prawem studiował on na uniwersytecie przed wojną polonistykę (której nie skończył) i filozofię (której nie skończył również). Na lekcje czasem przynosił starannie opracowane notatki z czasu studiów na arkuszach *in quarto* i z tego dyktował. Częściej jednak swoje lekcje improwizował. Nie sądzę, żeby miał czas się przygotowywać, bo przychodził na lekcje bezpośrednio po pracy w sądzie. Miał niezwykle warunki naturalne, przede wszystkim świetną pamięć, ale swoją drogą przedwojenna szkoła średnia i przedwojenne studia uniwersyteckie dawały bardzo dobre przygotowanie ogólne, poziom nauczania był wysoki. Klaczyński jednak studiował, jeśli dobrze pamiętam, w Warszawie. Ale miałem też w gimnazjum i liceum w Krasnymstawie znakomitego nauczyciela wykształconego przed wojną na KUL-u. To był Franciszek Tchórzewski, filolog klasyczny. Bardzo mu dużo zawdzięczam, myślę, że koniec końców także w znacznej mierze to, że studiowałem potem filologię klasyczną.

M. J.: A jak było z relacjami z KUL-em później? W pięknie wydanych przez PAN wspomnieniach³ wspomina pan profesor o tym, że miał okazję poznać jeszcze innego prawnika z KUL-u, Jana Stanisława Łosia.

J. D.: A tak, poznałem go! Ale to było już po moich studiach, na zjazdach Polskiego Towarzystwa Filologicznego, gdzie go raz czy dwa słyszałem w dyskusji, a później jeszcze poznałem go trochę bliżej. Pracowałem wówczas w wydawnictwie PAX. Wydaliśmy mu piękną książkę, którą by warto wznowić...

M. J.: Została wznowiona razem z innymi. Niedawno wydano *Sylwetki rzymskie, a też Rzym na rozdrożu i Helladę na przelomie epok*⁴.

J. D. Ach, to wszystko to jest dostępne? Nie wiedziałem. Bardzo się cieszę. To był nie tylko uczony, to był też świetny pisarz. Otóż poznałem go osobiście, bo właśnie ja byłem redaktorem jego *Sylwetek rzymskich*. To jego piarstwo zauroczyło mnie zresztą już wcześniej, kiedy późniejsza książka była dopiero publikowana we fragmentach, na przykład w „Meandrze” czy w „Tygodniku Powszechnym”. Chciwie to czytałem.

M. J.: On pierwszy przetłumaczył Prawo XII tablic na język polski.

J. D.: Zgadza się. Tłumaczenie to dodał do *Sylwetek* jako aneks, bardzo ciekawy i stylowy przekład. A sam tłumacz to był uroczy pan. Aristokrata.

M. J.: Hrabia.

J. D.: Hrabia. Za to sekowali go marksściści, którzy zawodowo zajmowali się starożytnością. Zarzucali mu różne rzeczy, pisali złośliwości o faworyzowaniu przez arystokratę współczesnego nobilów rzymskich. A potem i oni nawrócili się z marksizmu, przynajmniej niektórzy. Takie to były czasy, tak to się one wtedy zmieniały, a z nimi ludzie...

M. J.: A miał Pan Profesor jakieś kontakty z ojcem Krąpcem?

J. D.: Poznałem go chyba znacznie później, choć może czegoś z wcześniejszego czasu nie pamiętam, i nie były to kontakty znaczące. Przedtem w latach sześćdziesiątych poznałem go nieco bliżej przyjechawszy na KUL jako osoba towarzysząca profesorowi Paulowi Wilpertowi z Bonn. W latach osiemdziesiątych parę razy spotykaliśmy się u dominikanów krakowskich w klasztorze na Stolarskiej, gdzie on przyjeżdżał z wykładami i ja tak samo. Nieco lepiej znam jego niektóre prace i jestem pełen podziwu dla szerokości jego zainteresowań i dla jego jakości intelektualnych, nie tylko ściśle filozoficznych. Jeszcze niedługo przed jego śmiercią spotkaliśmy się raz na jakiejś sesji na KUL-u. Lepiej od ojca Krąpca znałem księdza Mariana Kurdziałka, zmarłego wcześniej, dość młodo. Byłem i nadal jestem zaprzyjaźniony z jego uczniami, jak profesorowie KUL-u ojciec Edward Iwo Zieliński czy ksiądz Marian Ciszewski, czy Agnieszka Kijewska. Byłem recenzentem doktoratu księdza

³ J. Domański, *Między filozofią a filologią. Wspomnienia*, Instytut Historii Nauki PAN, Warszawa 2012.

⁴ J. S. Łoś, *Sylwetki rzymskie*, Werset, Lublin 2007 (wyd. I: PAX, Warszawa 1958); id., *Rzym na rozdrożu. Studium monograficzne o Katonie Starszym*, Werset, Lublin 2009; id., *Hellada na przelomie*, Werset, Lublin 2012.

Ciszewskiego (o Bessarionie), a potem habilitacji (o XVI-wiecznym scholastyku, który nazywał się Franciscus Silvestris). Byłem również recenzentem habilitacji innego profesora KUL-u, Jerzego Rebety. Jeszcze innego, Jana Czerkawskiego, znałem chyba najlepiej, nawet mogę powiedzieć, że cieszyłem się jego przyjaźnią. Dobrze znam też z dawien dawna Kazimierza Wójcika, a potem poznawałem innych, głównie historyków filozofii średniowiecznej, z którymi się spotykam od czasu do czasu na zebraniach poświęconych wydawaniu tekstów średniowiecznych. Znałem też i znam KUL-owskich filologów klasycznych. Dużo ludzi z KUL-u poznałem, aż trudno mi na poczekaniu wymienić wszystkich.

M. J.: W swoich wspomnieniach zwierza się Pan Profesor, że ksiądz Żywczyński wystrychnął Pana Profesora na dudka. Można zapytać na czym to polegało?

J. D.: Ach, nie pamiętam już szczegółów, ale to prawda... W ramach pewnej paxowskiej akcji jeździłem z wykładami (nie zawsze dość kompetentny w ich materii...) do różnych środowisk, głównie do miast, w których były seminaria duchowne, no i na KUL-u raz w takim charakterze byłem. Wykłady miały charakter ideologiczny, a zahaczały o teologię. Ksiądz Żywczyński, który był człowiekiem niezależnym, ale bawił się w jakieś kontakty z PAX-em, przyszedł na to KUL-owskie zebranie i strasznie mnie splantował... Nie był to mój bliski znajomy. Raz czy dwa spotkałem go w PAX-ie, gdzie nie wiem nawet, czy rozmawialiśmy, i to wszystko. Był to wielki erudyta i nietuzinkowa postać, ale czasem oplotkowywany jako ksiądz „nieautentyczny”. Z plotek pozostała mi w pamięci anegdota, którą mi opowiedziała pewna ważna pani z Instytutu Wydawniczego PAX o innej jeszcze ważniejszej pani stamtąd, lat już dojrzałych, zwłaszcza jak na owe czasy, a stanu panińskiego. Otóż ta druga pani zapytać miała kiedyś księdza Żywczyńskiego: – Czy ksiądz profesor to w ogóle wierzy w Boga? – On na to: – Ja pani nie pytam, czy pani jest dziewicą. – *Si dice...*

M. J.: Pozwoli Pan Profesor, że zбочę odrobinę w kierunku historii nauczania prawa rzymskiego w Polsce.

J. D.: Proszę bardzo, choć ja się na tym nauczaniu prawa wcale nie znam.

M. J.: Pan Profesor znał Henryka Kupiszewskiego?

J. D.: Przelotnie. Za młodu. On był wtedy – tak samo jak inny historyk prawa antycznego, Józef Modrzejewski, dziś francuski profesor Méléze-Modrzejewski – najpierw studentem, potem asystentem profesora Rafała Taubenschlaga, wtedyśmy się znali. A potem ja odszedłem z Uniwersytetu Warszawskiego i nie było mnie tam dość długo. Następnie spotkaliśmy się już jako bardzo dorośli panowie. Widziałem go krótko, przelotnie, chyba na jakimś zebraniu, przed jego nominacją na ambasadora.

M. J.: A Taubenschlag...?

J. D.: No taak...! To wielka postać i... przedmiot wielu anegdot. Działało wówczas na Uniwersytecie Warszawskim jako osobny zakład seminarium papirologii i prawa antycznego. Taubenschlag nim kierował jakoś razem z drugim profesorem, Jerzym Manteufflem, młodszym sporo, żył on zresztą krótko, ledwie pięćdziesiąt

cztery lata, a zajmował się nie prawem antycznym jak Taubenschlag, lecz papi-rusami literackimi i można go chyba uznać za twórcę papirologii polskiej, tej, powiedzimy, filologicznej. Obaj zresztą żyli w harmonii, chociaż Taubenschlag dominował. Seminarium mieściło się, jeśli dobrze zapamiętałem, w jednym pokoju otoczonym dookoła książkami. Taubenschlag przychodził tam codziennie rano, zasiadał i pracował (oczywiście, kiedy nie było w tym pokoju zajęć). Kiedyś zdarzyło się tak, że Manteuffel ma tam zajęcia, wchodzi – nie pukając, rzecz jasna – Taubenschlag i coś do Manteuffla mówi. Na co ten odpowiada: – Panie profesorze, ja mam seminarium – a Taubenschlag: – Nic mnie nie obchodzi pańskie seminarium! – Był podobno taki właśnie władczy, bezceremonialny. Moja osobista przygoda z nim miała się następująco. Kiedyś jako student i zarazem tak zwany asystent wolontariusz profesora Kumanieckiego poszedłem do Taubenschlaga czy do kogoś z personelu jego zakładu (nie pamiętam już), żeby coś załatwić dla seminarium filologii klasycznej, pożyczyć czy oddać jakąś książkę na przykład, a profesor Taubenschlag potem powiedział do pani doktor Lidii Winniczuk: – Był tutaj chłopiec od Kumanieckiego. – I tak już zostałem „chłopcem od Kumanieckiego”, tak mnie on zidentyfikował... Innym razem, bezceremonialnie, zwrócił się do mnie słowami: – Powiedz pan Kumanieckiemu, żeby do mnie przyszedł. – Był to bardzo władczy pan i... bardzo śmieszny z wyglądu, taki... obły. Niewysoki, łysy całkowicie i właśnie taki okrągławy. Można go było spotkać na dziedzińcu uniwersyteckim idącego z rękami założonymi do tyłu, pochłoniętego myślami, które artykułował dość głośno, w różnych zresztą językach. Krążyła też o nim anegdota (pewnie zmyślona), że razu jednego doszło do awarii zamka od drzwi w toalecie, wskutek czego tam utknął. Na domiar złego awaria zamka zbiegła się z awarią wodociągu. Krótko mówiąc, zaczęło toaletę podtapiać, na co on począł bardzo mocno dobijać się do drzwi, których nie mógł otworzyć. Jedna z asystentek Manteuffla przyszła mu z pomocą, a on wychodząc podaje jej uroczyście rękę i mówi do niej: – Dziękuję pani w imieniu nauki polskiej, którą pani uratowała.

M. J.: Całkiem niewykluczone. Mówiono o nim również, że po locie Gagarina w kosmos miał zebrać swoich współpracowników i oświadczyć im, że oto nadszedł dzień, w którym narodziła się nauka, która nie ustępuje papirologii.

J. D.: Tej akurat anegdoty nie znałem. Ale miałem z nim jeszcze inną osobistą przygodę. Właściwie niedoszłą, na szczęście, do skutku. Profesor Taubenschlag mieszkał na ulicy Wilczej (był tam taki dom profesorski). Ja pracowałem już wtedy w PAX-ie na Mokotowskiej prawie na rogu Pięknej i do biblioteki uniwersyteckiej jeździłem stamtąd trolejbusem ulicą Kruczą, prostopadłą do Wilczej i Pięknej. Do uniwersytetu nie miałem daleko, ale w pośpiechu wsiadało się w trolejbus i się jechało. Bilet kosztował grosze. Pewnego razu w niesamowicie zatłoczonym trolejbusie (wsiadało się tyłem a wysiadało przodem) słyszę, że z przodu jest jakaś piekielna awantura. Kłóci się jakaś kobieta z jakimś mężczyzną, z których jedno wsiadło chyba przodem, o to właśnie nieprawidłowe wejście. Patrzą, kobieta nieznaną, ale mężczyzna to profesor Taubenschlag. Co zrobiłem? Żeby przypadkiem mnie nie rozpoznał i nie powołał na świadka, wcisnąłem się w kąt trolejbusu,

odwróciłem się tyłem do wnętrza i patrzyłem przez okno. Bałem się, że jak się coś stanie, a on mnie wypatrzy, to mnie potem, znajomego „chłopca od Kumańckiego”, powoła na świadka do sądu... No tak, to zdarzenia prawdziwe i plotki, pewnie w większości zmyślone. A przy wszystkich tych śmiesznościach profesor Rafał Taubenschlag to był uczony wielkiego, światowego formatu i zapewne wielkiego etosu. Pamiętam, jak przeżyłem jakiś jego jubileusz czy nagrodę, kiedy jego okazjonalne przemówienie uświadomiło mi, że po wojnie wyrzekł się świetnej kariery w USA i wrócił do zrujnowanej Polski, bo droższy niż laur Kapitolu był mu wianek rękami wieśniaczki usnuty z modrych bławatków i zielonej ruty, jak to określił pięknie słowami Mickiewicza.

M. J.: Z Pańskich wspomnień dowiedziałem się również, że w Paryżu spotkał Pan Profesor Jana Parandowskiego.

J. D.: Tak mi się zdaje. Tak to zapamiętałem, ale to może być też... konfabulacja. Na pewno był tam Ślucki, Iwaszkiewicza chyba nie było, a Parandowski...? Było to w roku 1956 w polskiej ambasadzie. Było tam dużo ludzi, a Parandowskiego nigdy osobiście nie znałem, nigdy nie zamieniłem z nim słowa, choć pilnie go wtedy czytałem i nawet okazjonalnie słuchałem jego wykładów. Na przykład była w roku chyba 1953 seria wykładów o sztuce przekładania. Parandowski, wtedy, zdaje mi się, prezes PEN Clubu, wygłosił dwa wykłady na temat tłumaczenia z klasycznych języków starożytnych, jeden, jeśli dobrze pamiętam, o własnym przekładzie *Odysei*, którą tłumaczył prozą. To był z jego strony pewien akt odwagi, taki prozaiczny i zarazem bardzo poetycki przekład, choć oczywiście były precedensy takich artystycznych przekładów poezji starożytnej prozą, a na przykład we Francji w serii Les Belles Lettres czy w Anglii w Loeb Classical Library to i wtedy, i dziś stała praktyka. Łapczywie rychło potem czytałem ten przekład Parandowskiego, kiedy ukazał się jako książka. W swojej młodzieńczej śmiałości doszedłem wtedy do wniosku, że właściwie jest to zmiana gatunku literackiego: *Odyseja* w tym prozaicznym przekładzie stała się baśnią, a nie tym, czym jest w wierszowanym oryginale. Dziś to moje ówczesne odczucie zbladło, nie wracam do prozaicznej *Odysei* Parandowskiego, sama książka gdzieś poszła do ludzi i nie ma jej na mojej półce. Nie miałem jednak nigdy do czynienia z Parandowskim osobiście, choć się na taki kontakt kiedyś zanosilo. Opowiedziałem o tym w laudacji napisanej dla Anny Świderkówny z okazji uhonorowania jej nagrodą Parandowskiego, laudacja wydrukowana została niedawno w książce jej pamięci poświęconej, a wydanej przez tynieckich benedyktynów⁵, więc już nie warto o tym mówić. Ostatecznie z obecnością Jana Parandowskiego w moim życiu było tak, że ja go na tych wykładach spotkałem, ale on mnie tam nie spotkał, a tym bardziej nie spotkał mnie w Paryżu, nie jestem więc wcale pewny, czy tam wtedy był.

M. J.: Naukowo interesowała Pana Profesora jednak bardziej filozofia.

⁵ Anna Świderkówna. *Z Aten do Jerozolimy. Wspomnienia przyjaciół*, oprac. H. J. Broniec, Wydawnictwo Benedyktynów, Kraków – Tyniec 2013.

J. D.: 36 lat nominalnie byłem historykiem filozofii średniowiecznej. Czy byłem też faktycznie, to pytanie bynajmniej nie tak niedorzeczne, jakby się mogło здаwać. Mało mam prac doksograficznych, bo interesował mnie problem szczególnie: czym była filozofia, za co ją uważali ci, których dziś nazywamy filozofami, jak ją opisywali jako pojęcie, jak ją definiowali? Co dawniej było uznawane za filozofię? Na pracach poświęconych temu zagadnieniu – nie doksograficznemu, lecz raczej metafizologicznemu – zbudowałem w latach już bardzo dojrzałych swoje naukowe *curriculum*, po doktoracie, który dostałem z filologii klasycznej. W aspekcie tego metafizologicznego problemu zajmowałem się przede wszystkim relacją między scholastyką średniowieczną a renesansowym humanizmem, zwłaszcza początkami humanizmu włoskiego, a także myślą Erazma z Rotterdamu. Trudno mi tak po prostu stwierdzić, że bardziej mnie interesowała filozofia od na przykład filologii czy szeroko rozumianych dziejów kultury umysłowej i literackiej.

M. J.: A czy podczas swojej pracy miał Pan Profesor jakiś kontakt z tekstami prawniczymi?

J. D.: Ze średniowiecznymi tak – trochę i po dyletancku. Miałem do czynienia z prawem jako historyk filozofii średniowiecznej w Polsce. Obcowałem wówczas z tak zwaną szkołą prawniczą krakowską reprezentowaną przez Stanisława ze Skarbimierza, Pawła Włodkowica, Jana Ostroroga czy (do pewnego stopnia) Jana z Ludziska. W przypadku tego pierwszego autora, teksty nie miały charakteru stricte prawniczego, bo były to kazania, poruszały jednak wiele prawniczych wątków. Jan z Ludziska był profesorem medycyny i uniwersyteckim oratorem, a w swoich mowach interesował się zagadnieniami społecznymi. Wybrane pisma tych autorów wydałem pod koniec lat siedemdziesiątych XX wieku w polskich przekładach dawnych lub nowych w tomie pierwszym antologii *700 lat myśli polskiej*⁶. W ostatnich kilkunastu latach pracowałem też nad inną średniowieczną antologią myśli polskiej, zamknąłem ją, ale jej nie wykończyłem (zrobi to za mnie może ktoś inny), antologią, w której również znajdują się teksty prawnicze, choć ma ona z założeniu pokazywać obecność dziedzictwa antycznego w polskim średniowieczu, w piśmiennictwie, które nazywam myślicielskim. Zauważyłem – co zapewne nie jest żadną rewelacją, ale ja szerzej literatury prawnokanonicznej nie znam – że kiedy Włodkowic broni prawa Litwinów do samostanowienia, kiedy protestuje przeciwko nawracaniu ich na siłę przez Krzyżaków, przeciwko krucjacie, przeciwko podbijaniu terytoriów pogańskich, to jednocześnie przyznaje pośrednio, że krucjaty XII-wieczne nie były sprzeczne z prawem, ponieważ stanowiły restytucję ziem niegdyś rzymskich. Zatem porządek rzymski prawnopolityczny traktował Włodkowic – a przypuszczam, że i inni ówczesni kanoniści – jako nieprzemijalny. Porządek ten, ustanowiony przez Rzymian, choćby drogą podbojów, sankcjonował te podboje. Fakt zdobycia przez Tytusa Jerozolimy postrzegany był przez chrześcijan jako prawny akt – coś, co się Rzymowi należało. Wcześniej jeszcze istniała scheda

⁶ *700 lat myśli polskiej*, t. I: *Filozofia i myśl społeczna XIII–XV wieku*, oprac. J. Domański, słowo wstępne W. Tatariewicz, PWN, Warszawa 1978.

po Aleksandrze Macedońskim, którą przejęli Rzymianie. Może ktoś podejmie tę ideę i sensownie ją rozwinie? Tu coś jest na rzeczy! Bardzo sprawę upraszczając, dziedzictwo starożytności w średniowieczu nie stanowiło przedmiotu badań historycznych. Było przede wszystkim użytkowane, było dobrem kulturowym, z którego średniowiecze korzystało nie dystansując się wobec niego jako wobec minionej przeszłości! Wyraźnie widać tu mocne *continuum*.

M. J.: Chciałbym poruszyć jeszcze wątek znajomości Pana Profesora z księdzem Eugeniuszem Dąbrowskim. To postać pomnikowa w sferze badań nad Pismem Świętym, choć ważna również dla prawa rzymskiego.

J. D.: Bardzo zdolny to był i świetnie wykształcony człowiek, świetnie piszący, wiodł chyba trochę awanturnicze życie. W swojej książce przytaczam anegdotkę, której nie weryfikuję. Otóż podczas wykładu, który wygłaszał w obecności arcybiskupa Szlagowskiego, na krytykę zareagować miał tak, że wyszedł i nie wrócił na salę. Dobrze znałem jego *Dzieje Pawła z Tarsu*, byłem redaktorem nowego wydania tego dzieła, znakomitego, świetnie napisanego⁷. Nic dziwnego, ksiądz Dąbrowski zdobywał swoją formację intelektualną w wielkim świecie, robił doktorat w Biblicum w Rzymie. Czytałem też inne jego prace, a wśród nich na przykład taki zbiór: *Glossy i odkrycia biblijne*⁸, w którym zainteresował mnie zwłaszcza tekst „Erazm z Rotterdamu i *editio princeps* Nowego Testamentu”. Barwna to postać. Renesansowa, jak się to mówi.

M. J.: Zdaje się, że przez chwilę wykladał na KUL-u.

J. D.: Chyba dłużej niż przez chwilę – i chyba dużo jako profesor bibliistyki na KUL-u zrobił. Nie miałem wtedy z nim żadnego kontaktu, ale to i owo do mnie dochodziło. Odszedł podobno z tej uczelni niekoniecznie... w harmonii. Miał podobno jakiś zatarg z władzami. Ale znów popadam w plotkarstwo, a oto chyba jesteśmy na miejscu?

M. J.: Tak.

J. D.: Nie wiem, ile razy przejeżdżałem autobusem przez te Piaski, ale niczego tu nie znam.

M. J.: To wspaniała okazja, żeby poznać. Stolik już czeka. Bardzo dziękuję za rozmowę, Panie Profesorze.

Obiad był smaczny i syty. Pan Profesor (przy świadkach!) stwierdził następnie, że po raz ostatni tak dobrze jadł... przed wojną.

*Z profesorem Juliuszem Domańskim rozmawiał Maciej Jońca
jonca@kul.lublin.pl*

⁷ E. Dąbrowski, *Dzieje Pawła z Tarsu*, wyd. II, PAX, Warszawa 1953.

⁸ Id., *Glossy i odkrycia biblijne*, PAX, Warszawa 1954.

ARGUMENTUM

Matthias Jońca cum professore Iulio Domański de amicitiae vinculis, quae eum cum Universitate Catholica Lublinensi coniungant, atque de notis ei viris doctis et scriptoribus, utpote Raphaelae Taubenschlag, Ioanne Parandowski et Eugenio Dąbrowski, colloquitur.